

W bibliotece

Do Biblioteki chadzał F. w piątki; tego dnia wcześniej kończył pracę i miał czas zajść do wielkiego, szaro-burego gmachu przed zatrzaśnięciem jego żelaznych wrót. Oddawał książki przeczytane i pożyczał nowe, zazwyczaj po pięć na raz, to znaczy na tydzień - tyle mu wystarczało; taki zresztą był limit. Pracował na stanowisku starszego kontrolera w elektrowni: po prawdzie przez połowę zmiany i tak nie miał nic lepszego do roboty, jak gapić się w ścianę monochromatycznych monitorów. Wolał książkę. Czytałby więcej, ale zwierzchnicy krzywym okiem patrzyli na wszelkiego rodzaju rozprasające uwagę rozrywki w miejscu pracy, zupełnie jakby od szybkości reakcji F. cokolwiek tu zależało. Nie zależało, on wiedział najlepiej, komputery zajmowały się wszystkim, człowiek siedział tam jedynie dla spokoju sumienia biurokratów, był to bodaj najbardziej bezsensowny ze stworzonych w instytucji etatów.

F. czytał głównie beletrystykę. Z przeróżnymi opracowaniami technicznymi tak czy owak musiał się zapoznawać w ramach nie kończącego się procesu doksztalcania, jakiego wymagała od swych kontrolerów elektrownia; toteż pożyczał fikcję. Wybierał tytuły jak się surfuje po internecie: natknąwszy się na autora, czytał jak leci wszystkie jego utwory; natknąwszy się pośród nich na odmienny a interesujący temat/gatunek, zbaczał z kolei w tę kategorię; tu znowu szedł po nazwiskach i one prowadziły go do kolejnych dziesiątek i setek tytułów. Wypis z jego karty biblioteczej przedstawiony w formie grafu posiadałby postać fraktala.

Egzemplarze, którymi dysponowała Biblioteka, zaliczały się do najtańszych z możliwych wydań, z rzadka spotykało się jakieś eleganckie edycje (zapewne pochodzące z darowizn lub ratunkowych przecen hurtowni). Te tanie wydania Biblioteka następnie oddawała do oprawy, która trwała przeciętnie rok; tak że do rąk F. nigdy nie trafiały nowości. Pogodził się z tym. Chociaż do końca pozostała w nim tęsknota za dotykiem i zapachem nowej książki. Książka zawsze była dla niego czymś więcej, aniżeli materialną formą utrwalenia i przekazu abstrakcyjnych treści, książka wypełniała dłoń, komponowała przestrzeń półki, karmiła oczy estetyką druku, kolorem papieru, wielkością i kształtem czcionki, układem akapitów, to wszystko zawierało się w utoczonej przez F. definicji czasownika „czytać”. Gniewała go więc praktyka introligatorów Biblioteki, którzy wszystkie książki, jakie do nich trafiały, obkładali w tę samą lub podobną barwę, sponurzając i postarzając je bez respektu dla faktycznego nastroju zawartych na ich kartach opowieści; wracały potem do magazynów Biblioteki z wiecznym piętnem właściwej publiczności obskurności.

Po dwunastu latach F. zorientował się, że wyczerpał w swym czytelniczym maratonie zasoby Biblioteki (w każdym razie w interesujących go zakresach) i zaczął wobec tego wracać po własnych śladach. W pewien sposób było mu teraz łatwiej: wiedział już mniej więcej - na ile pamiętał - czego się spodziewać po danym tytule, mógł sobie dobierać lektury podług pory roku, nastroju tygodnia, kontekstu zdarzeń.

Wtedy też zorientował się w istnieniu pośród użytkowników Biblioteki Wandala. Na pozostawiane przezeń ślady natykał się już od dawna, jednak dopiero teraz przypisał je konkretnej, domyślnej jednostce. Wpadały mianowicie w ręce F. książki z poczynionymi czarnym atramentem na marginesach, między wierszami oraz na wolnych kartach - dopiskami, komentarzami, aforyzmami, uwagami, recenzjami czy nawet szkicami alternatywnych linii fabularnych. Osobliwie upodobał sobie Wandalę początki i końce rozdziałów.

Wielce charakterystyczne dla F. było podejście do tego rodzaju wandalizmu. O ile bowiem ciężko kłął znajduwane na kartach plamy potłuszczone, ośle uszy, wypaczenia papieru powstałe po zamoczeniu

i wysuszeniu książki - o tyle na dzieło Wandala nawet specjalnie się nie krzywił. A oto dlaczego: Wandal miał zgrabne, równe pismo o drobnych literach, jego atrament był zawsze tej samej barwy i nie pozostawiał kleksów, a Wandal pisał na temat - to znaczy: na temat książki.

Ponieważ w większej części pożyczał teraz F. tytuły już sobie znane, idąc piątkowym popołudniem do Biblioteki zastanawiał się często, co też Wandal dopisze do tej akurat historii (którą to zamierzał sobie F. wypożyczyć), jak ją skomentuje, jakie nowe uczucia w nim wzbudzi. Wandal był człowiekiem wykształconym, czytany. Jego marginalia w doborze słów i sposobie formułowania zdań (zwykle równoważników) dawały dowód umysłu tyleż precyzyjnego, co wrażliwego. Czytając, F. nie potrafił się zmusić i ominąć wzrokiem przypisane do danego akapitu Wandalowe *post scriptum*; wiedział, bo próbował; marginalia już należały do książek jako takich.

Tak zatem za tym drugim razem czytał F. już co innego. Dwojaka jest rola metafor, porównań, epitetów. Pierwsza taka, żeby ów konkretny obiekt literackiej operacji przyoblec w wyobraźni czytelnika w przeznaczone mu przez autora dodatkowe cechy. Druga zaś taka, żeby kumulacją owych środków nadmiarowego opisu - w nich bowiem pisarz może zaszczyć u czytającego dowolnie abstrakcyjne i absurdalne skojarzenia - żeby tą drogą wprowadzić go sukcesywnie, metafora za metaforą, akapit za akapitem, w zaplanowany z góry stan umysłu (wzorzec asocjacji), w którym, już bez konieczności każdorazowego indukowania takich to a takich wyobrażeń, imaginacja czytelnika sama wędrować będzie wybraną przez autora ścieżką. Jest to dalece subtelniejsza, mistrzowska forma manipulacji znanej chociażby z popularnej zabawy w szybkie pytania i odpowiedzi („Jaki kolor ma węgiel?” „Czarny” „Jak się ubiera kominiarz?” „Na czarno” „Jaka jest barwa żałoby?” „Czarna” „A jaki kolor ma mleko?” „Czarny”). Toteż niezależnie od tego, czy pisarz stosuje tę metodę świadomie, czy nieświadomie - pozostaje prawdą, iż odbiór każdej kolejnej sceny stanowi funkcję recepcji całego poprzedzającego ją (a poniekąd także następującego po niej) tekstu.

Kiedy więc F. czytał powieść w barokowej oprawie Wandalowych refleksji - czytał już zupełnie nowe dzieło, na zupełnie nową drogę wstępował.

I zdarzyło się, że zachorował z pierwszymi tomami „W poszukiwaniu straconego czasu” w lekturze. Przy świetle małej lampki, w pograżonym w półmroku pokoju o zamkniętych dokładnie oknach, w zaduchu choroby - smakował wysokokaloryczne wspomnienia cudzego dzieciństwa; i zrodził się w nim rezonans. Ręka sama sięgnęła po długopis. *W chorobie i starości pamięć taka powinna być zakazana.* Układ graficzny strony osiągnął nową symetrię.

A że, jak słusznie zauważył Stagiryta, z repetycji zachowań rodzi się odruch, który odmienia naturę człowieka - wkrótce czytał już F. zawsze z długopisem w dłoni, by, po chwili zagapienia na ścianę monitorów, notować zawzięcie w otworzonej na pulpicie książce (obserwator wzięłby ją zapewne za dziennik zmiany).

Wandalizm się szerzy, podśmiewywał się w duchu. Zwracając książki nie bał się demaskacji przez bibliotekarza - sam F. wszak skarżył się mu swego czasu na te dopiski. Któż zresztą dociecze ręki, któż określi wiek atramentu?

Było już zatem dwóch Wandali. Nieuchronnie nadszedł moment, gdy ich ścieżki się przecięły: oto zrecenzował F. u dołu karty dokaligrafowany czarno wątek samobójstwa Raskolnikowa. Tak odmieniony Dostojewski wrócił do podziemi Biblioteki, wszedł w jej krwiobieg. F. pożyczał kolejne tytuły. Czytał; pisał; czytał dopisane.

•

Gdy ogłoszono blokadę i mobilizację, zmienił się personel Biblioteki. Mężczyznę w katalogu - którego zapewne powołano do wojska - zastąpiła młodziutka dziewczyna. F. skorzystał z okazji i zagadawszy ją,

przejrzał wstecz karty pożyczanych przez siebie tytułów, by przez porównanie wpisów odnaleźć i zidentyfikować Wandala. Numery i nazwiska się jednak nie pokrywały. Tego F. nie był w stanie pojąć. Czyżby Wandal pożyczał książki na kilka różnych kart?

Miesiąc później zbombardowano elektrownię, poważnie ją uszkadzając. Na szczęście nie stało się to na zmianie F. Niemniej pozostał on bez pracy. Zresztą, prócz żołnierzy, mało kto w mieście mógł o sobie powiedzieć, że pracuje. Dla F. oznaczało to tylko jedno: że oto ma więcej czasu, który może poświęcić na czytanie.

W następnny piątek dowiedział się w katalogu, że Biblioteka ma zostać zamknięta na czas nieokreślony. Jakże to? Zamknąć Bibliotekę? Stracił wówczas panowanie nad sobą i jął wykrzykiwać pełnym głosem - co mu się dotąd we wnętrzu tego gmachu nigdy nie zdarzyło - oskarżenia i obelgi pod adresem zarządu Biblioteki, aż wyszedł z zaplecza kierownik i zagroził, że wezwie patrol. Ale F. już go dopadł, już zaczął swoją litanię oburzenia i niedowierzania, dwadzieścia, trzydzieści lat będzie, jak przychodzę do was co tydzień, nawet jak był remont, jak była powódź, dlaczego teraz zamykacie, nie możecie tego zrobić. Kierownik zaciągnął go do gabinetu, posadził na krzesło, żeby się uspokoił. Także tutaj szyby były pozalepiane na krzyż, na biurku leżała maska gazowa. Kierownik był starszym człowiekiem, bardzo zmęczonym, ów ruch ręki, którym zdejmował okulary i ocierał czoło - był to gest stulatka, starca zniedołężniałego. F. zmienił taktykę. Ja wiem, wojna, wiem, ale może wobec tego potrzeba wam tu kogoś do pomocy, może do pilnowania, do straży przeciwpożarowej, do ochrony zbiorów, ja nie mam rodziny, nie mam już nawet pracy, mógłbym tu nocować, w końcu to byłoby nawet bezpieczniej, to jest solidna budowla, te mury, jakie grube, i podziemia, na dodatek obiekt absolutnie niestrategiczny, ostatnie, w co by chcieli strzelać, to biblioteka, co im przyjdzie ze zgruzowania biblioteki, na pewno się na coś przydam. Kierownik patrzył wzrokiem dręczonego przez wnuki dziadka. Dobrze, już dobrze. Zadzwoił po kogoś.

Po kwadransie zjawiła się mocno zbudowana brunetka w wieku pobalzakowskim i zaprowadziła F. do magazynów. Winda osobowa nie działała, zesłi więc do podziemi obszerną klatką schodową, nawet od środka sprawiającą wrażenie zrealizowanego snu Eschera, istny labirynt trójwymiarowy. Jak objaśniła F. kobieta, magazyny Biblioteki zajmowały trzy kondygnacje lochów XVI-wiecznego zameczku zaadaptowanego szybko na ratusz. Ratusz został zniszczony, lochy pozostały; na jego miejscu postawiono gmach, w którym obecnie mieściła się Biblioteka. Wszelako owe lochy po odnowieniu, przebudowie i ponownym odnowieniu w niczym nie przypominały ponurych kazamatów. W trzech pionach puszczone przez nie małe windy towarowe, komputerowo sterowane, przeznaczone wyłącznie do transportu książek, na dół i na górę. Oczywiście system komputerowy działał zaledwie przez parę miesięcy po uruchomieniu - obecnie windami tymi sterowano za pomocą nieskomplikowanej kombinacji wajch, dzwonek i przekładni.

F. zaprowadzono na najniższą kondygnację, do sektora windy B. Zbiory tu pomieszczone zaliczały się najwyraźniej do tych najmniej cennych, których wartość niższa jest od kosztów ich utrzymywania w dobrym stanie, bo już na pierwszy rzut oka jedna trzecia kwalifikowała się wyłącznie do wyrzucenia. Chce się pan koniecznie na coś przydać, uśmiechnęła się krzywo do F. kobieta, to niech pan zrobi tu porządek. Po czym zostawiła go samego.

F. w istocie nie tak to sobie wyobrażał. Bogiem a prawdą nie wyobrażał sobie chyba w ogóle; sytuacja go poniosła. Skoro jednak znalazł się już, gdzie się znalazł...

•

Robota ta zajęła mu w sumie dwa tygodnie, przy czym trzeciego wieczoru okazało się, że, podobnie jak jej pracownicy, musi F. nocować w Bibliotece, bo miasto znalazło się pod ciężkim ostrzałem, bomby

padały gęsto. Nawet tu, w trzewiach Biblioteki, trzęsło się wszystko, gdy wielusetkilogramowe ładunki kaleczyły oblicze miasta. F. słyszał wówczas nerwowy szelest książek, gniewny zgrzyt poruszanych regałów. Musiał tu nocować, w rzeczy samej to było jeszcze najbezpieczniejsze miejsce, nawet ci nieliczni pracujący na górze schodzili podczas co cięższych bombardowań do magazynów.

Zresztą potem nie stykał się już z nimi; nie bardzo wiedział, ilu właściwie ich jest. Czworo, sześcioro, dziesięcioro? Chyba jednak o nim pamiętali, bo windą B schodziły na dół - choć raczej nieregularnie - konserwy, suchary, butle zimnych napojów. Odcięto bowiem wodę i gaz; dobrze, że dochodził prąd, jaskrawe światło jarzeniówek zamigotało wszystkiego trzy czy cztery razy. Może Biblioteka dysponowała własnym generatorem? Nie pamiętał tego fragmentu mapy energetycznej miasta.

Tak czy owak, mógł czytać. Po prawdzie głównie czytał. Gdzieś tak w połowie drugiego tygodnia rozwinął w sobie poczucie odpowiedzialności, przynależności, wreszcie - własności. Podświadomie ustalił granice rewiru. Posortowawszy, rozdzieliwszy i z grubsza oczyściwszy książki ze swojego sektora, zainteresował się zawartością sąsiednich. Głównie jednak, jako się rzekło, czytał. Wandal nie dotarł do tej części zasobów i F. jako pierwszy dotykał piórem tych poźółkłych stron.

Wkrótce po tym, gdy zmniejszyła się intensywność bombardowań, do Biblioteki zaczęli napływać ludzie pozbawieni przez nie swych domów. To przynajmniej był jakiś dach nad głową, jakieś schronienie. F. dowiedział się o tej migracji, gdy dobiegły go szybem windy echa dziecięcych pokrzykiwań - tu uciekały całe rodziny. Odtąd w każdej chwili mógł usłyszeć ze ściany krótki szept, pojedyncze, absurdalnie wyraźnie wyartykułowane słowo, niezrozumiały środek zdania - przyniesione krętymi arteriami systemu wentylacyjnego Biblioteki. Czasami odrywały go od lektury, zaskakiwały podczas rekonesansu: brzęk naczyń, niczyje kroki, głośnie westchnięcie, ciężkie chrapanie.

Tu jednak, w -3B, był F. udzielny władca.



Nie miał radia, nie pociągnięto także linii telefonicznej; jedynym środkiem komunikacji ze światem zewnętrznym (choć wszak wewnątrzbibliotecznym) pozostawała owa winda towarowa. Czasami wydawało mu się, że ci tam, na górze zapomnieli o nim, gdy od dobrych kilkunastu książek nie odebrał ani nowej porcji prowiantu, ani następnych kartonów wypełnionych nieestetycznie oprawionymi woluminami. Wypisywał wówczas na skrawkach papieru pytania, ponaglenia i prośby, targał za dzwonek i posyłał te listy pustą windą ku niebu. Przeważnie odnosiło to skutek. Raz wyjątkowo długo zwlekali z odpowiedzią (dzieła wszystkie Mannów), nawet gotował się F., by znaleźć drogę i samemu tam pójść, ale zanim się zebrał w sobie, pojawiła się nowa przesyłka.

Bombardowania stawały się coraz słabsze i coraz odleglejsze, tak wnioskował z częstotliwości wstrząsów, uchodźców jednak przybywało, co z kolei wiedział po błyskawicznie rosnącej liczbie duchów, niewidzialnych dręczycieli jego zmysłu słuchu, którzy dzień i noc towarzyszyli mu w jego sektorze Biblioteki.

Właściwie jednak nie było żadnego dnia, żadnej nocy - jeno czas lektury i czas snu (który poniekąd również był czasem lektury), przerywane interludiami przyziemnych konieczności w rodzaju potrzeb fizjologicznych lub nowej serii przesyłek z wyższych kondygnacji Biblioteki. Musieli tam jakoś robić miejsce dla bezdomnych, zrzucali więc windami zawartość swych półek w niższe rejony magazynów. Tym sposobem F. otrzymywał tytuły nowsze, niektóre nawet z komentarzami Wandala. Te odkładał do lektury w pierwszym rzędzie. Poza tym musiał je segregować i znajdować im wszystkim miejsce w ograniczonej przecież przestrzeni trzeciego podpoziomu.

Wkrótce zaczęły przychodzić także żądania ekspediowania książek z -3B do sektorów wyższych. F. posłusznie zbierał je z regałów podług listy i układał w paczkach. Na co im były potrzebne? Co chcieli

z nim zrobić? Mieli jakiś plan? Nie wyglądało na to. Z miejsca rozpoznał co najmniej tuzin pozycji, które dwukrotnie trafiły tu, na dół. Ruchy robaczkowe Biblioteki również zostały zaburzone przez wojnę.

W końcu tak przyzwyczał się do duchów, że właściwie ich nie zauważał. Gdyby F. mówił do samego siebie (a nie miał takiego nawyku), oni tam zapewne również słyszeli go bezcielesnym głosem. A tak - komunikacja była jednokierunkowa. Ale on czytał; bardzo rzadko cokolwiek ze świata duchów przenikało do jego świadomości, tym bardziej - na marginesy książek.

•

Tymczasem F. jęło się objawiać pewne konieczne, konsekwentne następstwo lektur. Ponieważ przeczytał - a w każdym razie znał - prawie wszystkie książki z sektora, potrafił rozpoznać powiązania także w górę łańcucha lektur. Camus implikował Sartre'a, który implikował Topora, który implikował Jerofiejewa lub Poego (w zależności od bocznych asocjacji), co szerzej rozchodziło się ku Bułhakowowi i Lovecraftowi, *et ceatera, ad infinitum*, nieskończona sieć, matryca światów i nastrojów, odmieniana słowem ducha, gorzkim snem. Element niepewności wprowadzały dopiski Wandala. Gdyby spytać F., nie potrafiłby on rzec, ile wymiarów posiada owa Sieć, ani opowiedzieć każdego jednego jej węzła. A przecież świadomie odkształcał ją i budował własny kod.

Był to wszechświat oddzielny i ontologicznie niezawisły od domen zewnętrznych - jednak wysoce podatny na ich wpływy. Polecenia, zamówienia spływały windą jedno po drugim. Kształt matrycy odmieniał się z nagłą, gdy do puli przybywały nowe tytuły lub też gdy zubażano ją o inny zestaw tekstów - część matrycy wówczas obumierała, kontekstowody trupiejały, byty cofały się do bufora pamięci.

Księgobieg Biblioteki coraz częściej odstawał do sektora F. tomy wielokrotnie już „dookreślone” przez F. i Wandala. F. ze zdumieniem odkrył rękę i atrament także innych współtwórców Sieci. Kierunek ewolucji przestawał być jasny. Zresztą w górnych rejonach Biblioteki orientowano się w tym procederze, o czym przekonały F. znalezione któregoś razu między stronicami trzykroć przeorientowanego dzieła dwie zaopatrzone służbowymi pieczętkami notatki pracowników Biblioteki; zapewne wetknęli je tam i zapomnieli. W pierwszej domagano się zidentyfikowania i ukarania tych pozbawionych szacunku dla cudzej własności barbarzyńców kultury. Druga stwierdzała, iż jest to niemożliwe, a w każdym razie bardzo trudne, jako że większość pozycji wyliczanych w załączniku (który najwyraźniej zaginał gdzie indziej) nie była nigdy wypożyczana. F. uśmieł się serdecznie.

Do tego czasu uporządkował on już zbiory na trzecim podpoziomie w ten sposób, iż fizyczne rozmieszczenie tytułów odpowiadało tu z grubsza ich rozkładowi w Sieci. Oczywiście idealne odwzorowanie na płaszczyźnie było niemożliwe, jednak wobec ogromu Biblioteki bardzo to pomagało F. Przesuwał on teraz swoje posłanie między regałami w miarę jak dryfował po Sieci, po drodze wprowadzając do niej poprawki - także w tej materialnej jej reprezentacji. Na obrzeża i poza Sieć odciągały go tylko dzwonki windy i konieczność wykonania nadesłanych poleceń.

•

Miewał takie okresy, gdy bardzo żywo wyobrażał sobie, iż to Sieć nim kieruje, mówi mu, w które miejsce powinien się teraz przenieść, jaką drogę między regałami wybrać. Niemal widział, jak Sieć - dzięki książkom „nadznaczającym”, w nieprzerwanym strumieniu opuszczającym lochy skrzypiącą windą - łączy się tam z Sieciami innych czytelników w jeden wielki, samoistny metawszechświat. F. czuł się wtedy sługą tego uniwersum, agentem boskich sił, a właściwie jeszcze niżej - niezgrabnym manipulatorem, fizycznym wypustkiem niefizycznej rzeczywistości. Nie odnosił wówczas wrażenia, że cokolwiek współtworzy, że wpływa na kierunek ewolucji. Przeciwnie - ów byt ewoluował samoistnie, a to dopiski F. i trasy jego wędrówek po Bibliotece, one były poddawane modelowaniu. Po prawdzie w tych

okresach tracił w ogóle poczucie czasu; żył we wszechświecie, gdzie przechodzi się od niezmiennika do niezmiennika, a entropia nieuchronnie maleje.

Miał nawet taki sen - znowu bardzo żywy - w którym był Bibliotekarzem ludzkości i wędrując pod powierzchnią Ziemi pozbawionym ścian (tylko regały) podpoziomem trzecim, pod kontynentami, pod oceanami, metropoliami i pustyniami, gdziekolwiek żyją ludzie - odmieniał swym przejściem Metasieć, odwracał trendy i hierarchie literackie...

Po przebudzeniu przeprowadził się F. w okolice Borgesa.



F. czytał i spał, czytał i spał - i rozumiał coraz więcej. Sieć kierowała jego dłonią w doborze lektur, Sieć kierowała jego dłonią, gdy pisał. Czymże innym były te jego dopiski, jeśli nie nowymi kodami wprowadzanymi do puli, kontrolowaną mutacją? Interakcja trwała w czasie, zależności stawały się wielopiętrowe. System przypominał już F. skomplikowaną homeostazę, autoregulator konekcyjny. Oczywiście Sieć nie działała tak szybko jak ludzki umysł - lecz w skali miesięcy i lat. Była za to nieporównanie większa, obejmowała wszystkie istniejące książki i wszystkich czytelników. Skojarzenia, refleksje, uczucia, wnioski - przepływały tu bardzo powoli, niczym wielorybie pieśni przez oceaniczne głębie. Za to każda taka myśl to prawdziwa Amazonka słów, o miliardzie odnóg. „*Co panu przypomina ta ryba?*” „*Inną rybę?*”. „*A ta inna ryba?*” „*Jeszcze inną rybę?*”.

Czy Sieć jest świadoma samej siebie? Spacerując między wysokimi regałami wodził palcem wzdłuż półek. Bawił się następującym pomysłem: że oto zupełnie na ślepo, łamiąc reguły asocjacji, sięgnie i wybierze pierwszy z brzegu tom. Czy wprowadzi w ten sposób zamęt do jej myśli, zamuli je chaotycznym szumem? Nie, to przecież nie odnosi się do pojedynczych czytelników, podobnie jak jeden błysk na synapsach o niczym nie przesądza. Nie raz zdarzało się przecież F. istotnie wybierać książkę tak na chybił-trafił. Ale w końcu ile osób jednocześnie wyłamuje się tym sposobem z Sieci, z premedytacją randomizując *input* i *output* kulturosfery? I to konsekwentnie, w jednostkach czasu znaczących dla Sieci: miesiącach, latach? Takich ludzi po prawdzie nie ma. A F. wiedział, że sam nic nie zmieni. No i przede wszystkim - czy faktycznie istniała potrzeba jakichkolwiek zmian? Czemuż miałyby się buntować? Bunt nie leżał w jego naturze.

Być może, gdyby Sieć żywiła jakieś wrogie zamiary... Ale - wrogie wobec kogo? F.? Nawet nie zdaje sobie sprawy z jego istnienia. Ludzkości? Jej istnienia również niekoniecznie musi być świadoma. W ogóle - jakie mogą być te zamiary Sieci, krótko- i długoterminowe? Zastanawiał się nad tym czyszcząc i segregując książki (był leukocytym jej systemu immunologicznego). Instynkt samozachowawczy; tak, na ten odruch zawsze warto postawić. I rzeczywiście, spoglądając z dystansu na ostatnie dziesięciolecia rozwoju cywilizacji, trudno się oprzeć wrażeniu, iż Sieć skorzystała na bodaj wszystkich zmianach. Sam internet posłużył jej za potężny akcelerator procesów myślowych, zupełnie jakby ktoś podpiął człowiekowi do neuronów przekaźniki FTL. Ogólnoświatowa unifikacja kulturowa i dominacja języka angielskiego usunęły podział na częściowo wzajem od siebie odseparowane płyty mózgowe.

Co dalej, dumał, co dalej? Komputery, oczywiście, maszyny logiczne, które gwarantują szybkość największą i największą jednorodność kodu, naturalnie wymuszana przez standard kompatybilności. Ona o tym myśli, czytał te jej myśli, za funkcje planujące Sieci odpowiadała bowiem *science fiction*, i tam były: światy bezludne, genocydy ku chwale AI, cywilizacje służebne...

Ale czy sam nie jestem sługą? Jestem, jestem. Pokornym jej sługą. Uśmiechając się, obracał pióro między palcami o wyraźnych odciskach. Maszyny ci tego nie dadzą, szeptał kreśląc na marginesie „*Neuromancera*” przewrotny aforyzm. Ty wiesz. Żyjemy w symbiozie. W końcu - to myśmy cię stworzyli. Nie dopuścisz do upadku czytelnictwa.

O czym śnisz? (Nigdy nie poświęcał wiele uwagi poezji).

•

Niepokojący objaw: bóle kręgosłupa. Zorientował się, że unosi książki coraz bliżej i bliżej oczu. Czyżby tracił wzrok? Z czasem to się potwierdziło: ślepl. Cóż, powiedział sobie mrugając w lodowatym świetle jarzeniówek, to było nie do uniknięcia. Był przecież szczęśliwy. Niemniej odtąd w większym stopniu polegał na buforze pamięci, bardziej sobie przypominając kolejne węzły Sieci, aniżeli faktycznie internalizując je od nowa. Skupiał się na nowościach, książkach zsyłanych z góry.

•

Rzeczywiście, czuł się tu szczęśliwy. W gruncie rzeczy, myślał, jest to życie, jakie mogłem sobie tylko wymarzyć. Idealne zwieńczenie dotychczasowych mych losów. Tuż przed zaśnięciem uśmiechał się do siebie - do Biblioteki - kątem ust.

W istocie - czyż nie wspaniała puenta? Czy nie tak zamknąłby się ciąg skojarzeń, gdyby samemu stanowił element Sieci?

Podpatrywał F. w porażającym spojówce świetle jarzeniowych lamp insekty, przemykające nigdy nie cofającymi się cieniami lochów. Te małe robaki, niezliczone, nieodróżnialne istoty tła. Przyglądał się z bliska, pochylając się mimo bolących pleców - jak przebierają odnóżami, nagle zamierają w bezruchu, tylko czułki nerwowo drgają, potem znowu sprint - przyglądał się i znajdował pocieszenie.

•

Dzwonek i szum windy. Karton ze świeżo oprawionymi dziełami zebranymi Tołstoja. Ktoś już jednak zdążył umieścić je w swojej Sieci: kartkując powoli, spostrzegł F. ołówkowe dopiski, niektóre bardzo długie. Zaczytał się, przeskakując tym samym kilka węzłów. Z komentarza jednoznacznie wynikało, iż wojna, tam, na górze, skończyła się już przed kilku laty. F. uniósł głowę, przelotnie zaskoczony. Rzeczywiście, nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zatrzęsły się regały i musiał na nowo układać upadłe książki; opuściły go także duchy. Nie zdawał sobie sprawy aż do tej pory. Wojna - po wojnie. Jakże teraz wygląda miasto? Czy elektrownia nadal stoi? A moje mieszkanie - ocalało? Spadał F. w ciemnobrązowe odmęty nostalgii.

Westchnąwszy, wyjął jednak pióro, przewrócił stronicę i pochylił się nad książką: świat czekał dopełnienia.

*Jacek Dukaj
styczeń - czerwiec 1999*

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)